Nr. 1. Lwów, dnia 11. lutego 1900. Tom I.

ROMANS I POWIEŚĆ

PISMO TYGODNIOWE, POŚWIĘCONE BELLETRYSTYCE.

Wychodzi każdej niedzieli.

Cena we Lwowie: rocznie 10 koron, półrocznie 5 koron, kwartalnie 2 kor 50 h.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Lwów, pl. Marjacki 6.

Cena dla prowincji: rocznie 12 koron, półrocznie 6 koron, kwartalnie 3 korony.

KONKIETA.

SZKIC

przez **GABRYELĘ ZAPOLSKĄ.**

Pan Radziechowski był stanowczo przystojnym człowiekiem. Gdy szedł powoli ulicą Karola Ludwika — (od hotelu śp. Żorża aż do Kasy oszczędności) i dalej na Jagiellońską, ta i owa oglądała się za nim, a w oczach błyszczały nawet iskierki zachwytu.

Tak myślał pan Radziechowski i dlatego nosił bardzo ładny cylinder — w zimie czapkę barankową przekrzywioną na bakier, świeży krawat, rękawiczki angielskie i wcale niebrzydką laskę.

Po nad to golił się starannie, wąsy podkręcał w górę — troszkę, ale tylko troszeczkę czernił brwi szpilką i usta (niby chroniąc je przed mrozem) smarował różaną pomadką.

Tyle — co do oznak zewnętrznych.

Co zaś do „moralnej istoty“ — naga dusza pana Radziechowskiego miała grubą łupinę z przeciętno filistersko-urzędniczej waty i w wacie tej czuła się dobrze, miło, i swojsko.

Tak było do pewnego okresu, to jest do chwili, której pan Radziechowski dobił się już pewnego stanowiska.

Bo pan Radziechowski był urzędnikiem. Gdzie, jakim, mniejsza z tem! Słowem był — urzędnikiem, to jest jednem kółkiem więcej w maszynie państwowej. Och! nie hofratem, ani znów koncepspraktykantem On był solidnym „urzędnikiem“ — obecnie już prawie, prawie na *stanowisku*. Lata całe poświęcił, aby dojść wreszcie do owego punktu, z którego urzędnik zaczyna nos zadzierać do góry, wystawiać naprzód klatkę piersiową i dbać nawet o godność swych kaloszy. Lata całe odmawiał sobie wszystkiego, nie wiedział, co biby, druhy, a nawet wesołe miłostki... Starał się być „correct“ i nieposzlakowanym. — Wiedział, że taka mumjowatość w biurokracji jest zaletą — starał się być mumją i... dojść...

Doszedł i stanąwszy przed lustrem z radością zauważył, iż „porządne życie“ zakonserwowało jego urodę i świeżość.

— Teraz się puszczę! — powiedział sobie i kupił zaraz w pobliskim bazarze flaszeczkę angielskich perfum i pół tuzina batystowych kolorowych chusteczek. Ze stałem postanowieniem „puszczenia się“, zaczął teraz pan Radziechowski chodzić po ulicy Karola Ludwika, szukając odpowiedniej dla siebie konkiety. Lecz — stracił wprawę, potem — na ulicy nie wypadało zaczepiać przyzwoicie wyglądających dam. Nie jedna mogła się rozgniewać, te zaś, które zdawały się być mniej skłonne do gniewu, wydawały się panu Radziechowskiemu niegodne jego uwagi.

Bo — pan Radziechowski chciał się puścić — ale puścić *en grand*.

Pragnął, aby ta konkieta zaznaczyła się w jego życiu. Chciał, aby to była dama, już jeżeli nie z wielkiego świata — to — dama do-

brze wychowana, inteligentna, piękna, pełna dystynkcji — urocza...

Tylko tyle!... och! marzeniom nikt tamy położyć nie może.

Lecz szczęście mu nie sprzyjało.

Już dwa razy dał cylinder do odprasowania, zużył dwie pary rękawiczek, spinka poczerniała w krawacie, sztuczny djament od wilgoci stracił blask — a w buteleczce ledwo, ledwo była kropla angielskich perfum, a pan Radziechowski nie zrobił do tej chwili żadnej konkiety.

Ta i owa przeszła, uśmiechnęła się – spojrzała powłóczyście — niewiadomo — może z lśniącego cylindra, może z rękawiczek zbyt czerwonych, może z wąsów sterczących jak halabardy, może z owej w watę owiniętej duszy... kto wie z czego się uśmiecha kobieta — kto wie!

Pan Radziechowski zaczął wątpić o sobie.

Nagle — zabłysła gwiazda.

Pan Radziechowski poznał aktorkę.

Jak? gdzie? kiedy?

Na bankiecie — ależ tak! na bankiecie literacko-artystycznym, na którym było po trosze wszystkiego, a najmniej literatów i artystów.

Przedstawiono go jednak... aktorce.

Była to trzeciorzędna aktorka, jedna z tych, których gaża nie przechodzi pięćdziesięciu guldenów i guldena *feu*, a role ograniczają się na damach z kanapy i dzieweczkach z pod słomianej strzechy, w swojskich komedjach rozmaitych Przybylskich.

Panna Łukowicz była niebrzydka, miała wielkie czarne oczy, trochę zepsutą cerę — ale ładny uśmiech — i coś smutnego jakby zgnębionego w całej postaci.

Ubrana była zgrabnie i świeżo — siedząc za stołem bankietowym w swej różowej sukience, robiła wrażenie pokaźnej kobiety.

W uszach miała jakieś świecące kolczyki. Może brylanty — może szkło. . kto wie, co tkwi w duszy i w uszach artystki.

Tak sobie myślał pan Radziechowski. Siedział obok Łukowiczównej i przyglądał jej się zapamiętale. Kobieta śmiała się i patrzyła wyzywająco z pod długich rzęs.

Jadła pomarańcze i piła dwuznaczne wino, które nalewano dość obficie. Przed nią stał kandelabr, na który kapała ze świec stearyna. Po za kandelabrem naprzeciwko pana Radziechowskiego siedział jeden z aktorów. — Przez stół, Łukowiczówna i aktor rzucali do siebie porozumiawcze półsłówka i widoczne było, że bawili się serdecznie kosztem otoczenia. Całe snopy dowcipu, prawdziwego, ciętego, tryskały z ich słów. Pan Radziechowski nie rozumiał nic, zresztą patrzył tylko na szyję, ręce i oczy aktorki.

I powziął heroiczne postanowienie.

To będzie jego konkieta.

Napił się wina — odrzucił połę fraka, pokręcił wąsa i rękę przerzucił przez poręcz krzesła, na którem siedziała panna Łukowiczówna.

Było to coś nakształt wzięcia w posiadanie.

Gest krótki a piękny — gest Napoleona, pochylonego nad kartą Europy, w ogóle gest mężczyzny zamierzającego powiedzieć — to będzie *moje!*

Panna Łukowiczówna niedostrzegła ani gestu, ani odgadła myśli. Roztargniona, jadła skórki pomarańczy i wzrokiem błądziła po kapiącej stearynie.

Wreszcie wzruszyła ramionami i rzekła jakby sama do siebie.

— Zimno!

Pan Radziechowski rzucił się, jakby go ukłuła szpilką.

— Zamknąć! okna zamknąć!... wołał w pustkę, bo kelnerzy zajęci roznoszeniem wysuszonych, jak wióry, kuropatw, nie troszczyli się o spełnienie rozkazów.

Lecz aktorka wstrzymała go gestem.

— Po co?... ja mówiłam, że tak jakoś.. zimno — ale nie na sali — tylko pomiędzy nami wszystkimi.

— A!..

— Tak! tak! brak kitu, nie klei się.

Zakręciła noskiem i widoczne było, że tłumi ziewanie

— Pani się nudzi!

— Chciałabym już być w domu!

Pan Radziechowski uznał za stosowne być domyślnym.

— Może tam kto czeka?

Panna Łukowiczówna roześmiała się

— Czeka! powtórzyła przeciągle.

— O!!!

Nastąpiła pauza – kobieta patrzyła teraz uparcie przed siebie, ale zdawało się, że nic nie widzi w przestrzeni.

— Szkoda! – wyszeptał nagle pan Radziechowski — ja odwiózłbym panią do domu!

Ona nagle, jakby się ze snu cknęła.

— Dziękuję panu, ja pójdę z kolegami!

Powoli bankiet miał się ku końcowi.

Stearyna lała się kaskadami na podstawy kandelabrów — na stole pojawił się szampan (och!!!) — kelnerzy roznosili czarną kawę w grubych filiżankach — twarze biesiadników przybierały kolory tęczy — na szarym końcu dwóch panów niewiadomego nazwiska było pijanych, a trzeci był w stanie upicia się.

Pan Radziechowski uczuł, że jeśli nie skorzysta z danej chwili, konkieta znów wymknie się z jego dłoni. Postanowił być śmiałym, od ważnym i przedsiębiorczym.

Wysunął nogę, usiłował dotknąć ręką pleców panny Łukowicz, lecz ta kobieta miała dziwny sposób zachowania się.

Patrzyła na pozór chwilami wyzywająco, mówiła swobodnie, tonem przyjacielskim, a przecież było w niej coś, co nie dozwalało na większe zbliżenie, coś — co dzieliło ich oboje i nawet w tej, na pozór podnieconej atmosferze studziło zapały mężczyzny. Aktorka odsuwała od siebie szklaneczkę z szampanem i piła spokojnie Vöslauer Goldecka.

Panu Radziechowskiemu wydało się to nadzwyczajnem. Szampan i aktorka tak zrosły się razem w jego ciasnym umyśle, iż pojąć nie mógł, dlaczego ta „teatralna“ kobieta nie pije tej boskiej mikstury.

— Pani nie pije szampana? — zapytał.

Ona podniosła na niego swe wielkie, ciemne oczy.

— Jak czasem! — odparła prawie niedbale.

Lecz on usiłował być... głębokim.

— Rozumiem!—szepnął pochylając się ku niej.

Aktorka zdziwiła się niemało.

— Co pan rozumie?

Ale on pozostał tajemniczym. Tylko wzrokiem wpił się w jej cokolwiek podsiniałe oczy, a usta ułożył do sfinksowego uśmiechu.

I natychmiast dodał z szatańską intonacją w głowie:

— Czy pozwoli pani złożyć sobie uszanowanie?

Ona zawahała się chwileczkę, jakby zażenowana.

— Proszę pana — będzie mi bardzo miło! — odparła wreszcie szybko.

Znać w niej było trwogę aktorki przed jednym osobnikiem owej zbiorowej hydry, *publicznością* zwanej. Kobieta lękała się być niegrzeczną, w każdej chwili czuła się być niewolnicą pięćdziesięciu guldenów gaży i guldena *feu*...

— Będzie mi bardzo miło... — powtórzyła raz jeszcze — tylko ja bardzo skromnie mieszkam..

— O!... — zawołał pan Radziechowski — ja wszakże nie dla mieszkania pragnę odwidzieć panią!...

Zaczęto wstawać od stołów. Aktorka zmięszała się z grupą kolegów i koleżanek i pan Radziechowski stracił ją z oczów.

(C. d. n.)

TAJEMNICZA ZBRODNIA.

ROMANS

Eugeniusza Chavette.

ROZDZIAŁ I

Pewnego dnia w miesiącu lipcu 186* roku, jakiś pan w południe szedł zwolna chodnikiem ulicy św. Honorego, badając oczyma na każdej bramie karty z lokalami do najęcia

Przeszedłszy prawie połowę ulicy, zatrzymał się nareszcie przed domem, który mu się widocznie podobał; popatrzywszy przez chwil kilka na fasadę, zapuścił się w bramę i przez okienko w drzwiach izdebki odźwiernego, zapytał:

— Gdzie tu jest mieszkanie do najęcia?

— Drugie piętro... cztery tysiące franków... Siedm pokoi, z tych dwie sypialnie.. trzy pokoje dla służących, dwie piwnice.. woda i gaz w mieszkaniu — wyrecytował zapytany jednym tchem.

— Czy można zająć natychmiast?

— Prawie. Dziś mamy 9-go, a lokatorzy mają się wyprowadzić 15-go. Więc sześć dni tylko musi pan być cierpliwym.

Zaledwie byli na pierwszem piętrze, gdy na dole w sieni, ktoś zawołał:

— Hej! Ignacy! wróć się!

Był to listonosz, który przyniósł właśnie listy do lokatorów domu

Ignacy, tak się nazywał odźwierny, uznał za zbyteczne zejść ze schodów, lecz, przechyliwszy się przez poręcz, poznał tego, który go wołał i odpowiedział:

— Cóż.. wszystkie omarkowane, nieprawdaż? Bądź pan tak łaskaw położyć je w mojej izdebce.

A podczas gdy listonosz czynił, co mu zalecono, odźwierny szedł coraz wyżej, a za nim przybysz; ten, znalazłszy się w sionce pierwszego piętra, zapytał go:

— Żonaci jesteście?

— Żonatym, proszę pana. Jeżeli pan nie widział mej żony, to dlatego, że ją posłał na miasto jeden z lokatorów.

— Pytam was o to, bo do czasu mojego ożenienia się, które ma nastąpić bardzo niedługo, nie chcę trzymać u siebie służby. Dlatego więc, gdyby mi się spodobało mieszkanie, chcę wiedzieć, czy albo wy, czy wasza żona nie podjęlibyście się mi posługiwać?

— A dobrze... żona może panu sprzątać pokoje i gotować, bo przez dziesięć lat służyła u właściciela tego domu.

— A! to właściciel domu tu mieszka?

— Nie, ale niedaleko... w kamienicy sąsiedniej, która do niego także należy.

— O! to więc bogacz?

— Leon Barantel ma, jak mówią, przeszło trzy miliony.

— Barantel? — powtórzył przybysz. — Zdaje mi się, że znam to nazwisko. Czy wasz właściciel nie jest czasem albo nie był bankierem?

— To ojciec pana Leona... Umarł przed pięciu laty. Ja służyłem u niego za lokaja, a żona za kucharkę. Pan Leon, dał nam miejsce odźwiernych w swoim drugim domu. Dlatego właśnie mówiłem że moja małżonka Eudoksja mogłaby się też podjąć gotowania panu w kuchni.

— O! mnie mało obchodzi kuchnia — rzekł nieznajomy, wstrząsając głową — dwa jajka i szklanka herbaty, wystarczają mi zrana... co wieczór jem obiad na mieście lub w moim klubie... Zajmiecie się więc tylko sprzątaniem i doglądaniem pokoi... będziecie dostawali sto franków miesięcznie.

Te trzy wyrazy, które nieznajomy wymówił z przyciskiem, zabrzmiały melodyjnie w uchu odźwiernego, wyjąkał też zaraz głosem, pełnym wdzięczności.

— Może pan liczyć z góry na mą gorliwość i na pracę Eudoksji.

— Tak — wtrącił nieznajomy ale przedewszystkiem zobaczyć muszę, czy mieszkanie będzie dla mnie dogodne.

I przerywając tę pauzę, uczynioną w sionce pierwszego piętra, popchnął z lekka małżonka Eudoksji, ażeby szedł dalej.

— To musi być książę! Niezawodnie jakiś książę! — mówił do siebie, idąc dalej, odźwierny, zachwycony obietnicą stu frankow.

Nie będziemy tak stanowczymi w wydaniu sądu, jak Ignacy, co do stanu społecznego tego pana, ale nadmienić winniśmy, że wyglądał bardzo pokaźnie.

Był to wysoki brunet około lat trzydziestu pięciu, o wzroku śmiałym, twarzy nieco szyderczo uśmiechniętej. Broda, starannie utrzymana, ubranie eleganckie, bardzo dobrze noszone, postawa smukła, powierzchowność, znamionująca dostatek, oto w krótkości rysopis tego człowieka, który bądź cobądź, pomimo twarzy nieco już zniszczonej, uchodzić mógł za bardzo przystojnego mężczyznę.

Ignacy, stanąwszy przed drzwiami lokalu do wynajęcia, już sięgał ręką do dzwonka, gdy nagle powściągnął ten ruch, obrócił się i przechylił się przez poręcz schodów.

— Czy to ty, Eudoksjo?

Nikt nie odpowiedział na to pytanie; Ignacy wyprostował się i rzekł:

— Przepraszam pana żem dał na siebie czekać, ale zdawało mi się, że skrzypnęły drzwi od mej izdebki, myślałem więc, że to żona wraca z miasta.

— Boicie się, ażeby jej nie zaniepokoiła wasza nieobecność?

— O! nie.. Eudoksję nie tak łatwo co przestraszy. Chciałem jej tylko polecić, ażeby oddała prędko lokatorom te listy, które listonosz przyniósł.

Mówiąc to, zadzwonił do drzwi, które niebawem otworzył służący z miną podejrzaną i spojrzeniem zuchwałem

— Stanisławie, przyprowadziłem pana dla obejrzenia mieszkania Czy można obejrzeć, nie przeszkadzając państwu? — zapytał Ignacy.

— Owszem; państwo jedzą właśnie śniadanie — odpowiedział lokaj.

I zwracając się do młodzieńca, dodał:

— Proszę pana za mną

Ten skorzystał z zaproszenia i wszedł do przedpokoju wraz z odźwiernym.

Lokaj Stanisław zwrócił się na prawo przez korytarzyk, prowadzący do pokoiku bardzo elegancko umeblowanego

— Buduar pani — oznajmił.

— Prawdziwa bonbonierka — oświadczył gość na widok mebli.

Przewodnik pchnął inne drzwi i usunął się dla przepuszczenia tego, którego oprowadzał.

— Sypialnia pani — rzekł.

— O! o! o! — wyrzekł młodzieniec gamą w górę idąc ze zdziwienia, przyglądając się niezwykłemu przepychowi, przedstawiającemu się jego oczom

— Tak, tu wszystko za grube pieniądze — zauważył lokaj, widząc jego zachwyt.

Poczem otworzywszy drugie drzwi, podchwycił:

— Naprzykład, nie można tego samego powiedzieć o pokoju męża pani

— Widać wasz pan mniej jest wybredny od swej żony — rzekł z uśmiechem nieznajomy, zajrzawszy do tego ponurego pokoju, w którem umeblowanie bardzo pospolite nie warte było nawet stu talarów.

— O! pan nasz musi mieć wymagania skromne — roześmiał się szyderczo Stanisław — bo pani ściska przed nim pieniądze.. O! gdyby tylko mógł i on by puszczał talary w taniec ręczę panu.

— Hm! hm! — zakaszlał Ignacy, ażeby zreflektować służącego, który wobec osoby trzeciej nadto się zapominał względem swoich państwa.

Ta przestroga była dobrze zrozumiana przez lokaja, ale, zamiast zastosować się do rady, wzruszył pogardliwie ramionami, mówiąc:

— Alboż ja o nich dbam... Już ich mam póty! Dziś zaraz zabieram ztąd swe manatki... O! mam już ich dosyć... Oni mnie ..

Przerwał, ażeby zawołać, wyciągając rękę w kierunku pokoju jadalnego:

— O! niech tylko pan posłucha... Zamiast nadziewać żołądki, czem się oto zajmują w czasie śniadania... Mógłby kto pomyśleć, że to menażerja jaka!

Rzeczywiście, dwa głosy zbyt oddalone, ażeby można było słyszeć słowa, rozlegały się na drugim końcu mieszkania, z gwałtownością, świadczącą co do obu o zaciekłym gniewie.

Wśród tej gwałtownej burzy małżeńskiej, Stanisław wybuchnął śmiechem, mówiąc:

— Kto by pomyślał, że ta wrzeszcząca para pobrała się z miłości... nieprawdaż Ignacy?

— To prawda — przytaknął odźwierny — bo pani była bogata, a pan nie miał ani grosza.

— Żona wnosiła zapewne talary dla wynagrodzenia swej brzydoty i starości — zapytał młodzieniec, w którym budziła się ciekawość.

— Ona brzydka i stara? — podchwycił służący — nie bądź pan w błędzie, ma ona lat dwadzieścia dwa a ładna jak rzadko.

— No, to zakochała się w ładnym chłopcu, którego zapragnęła uszczęśliwić i wzbogacić.

Na to przypuszczenie Stanisław wybuchnął takim śmiechem, że zaledwie zdołał wyjąkać:

— Co! co! on ładny chłopiec!. Ha! ha! to wyborne! On taki duży, jak mój but, chudszy od śledzia, żółciejszy od cytryny i do tego kulawy. Kiedy wychodzą razem, to wygląda tak, jakgdyby pani oprowadzała swą małpę. To taki ładny ten pański chłopiec!

Potem powściągając śmiech, lokaj dodał:

— Zresztą potwór nie jest umieszczonym w worku. Chodź pan do pokoju jadalnego a przyjrzysz się temu gagatkowi.

— Chodźmy! — rzekł nieznajomy

Wracali więc przez pokoje, którędy już przechodzili, aż do salonu' który oddzielał buduar od pokoju stołowego.

W miarę, jak zmniejszała się odległość, głosy stawały się wyraźniejszymi, tak, że zbliżający się mogli rozróżnić już słowa.

Pośrodku salonu, w którym gruby dywan tłumił odgłosy ich kroków, Stanisław zatrzymał się, z uśmiechem na ustach, dając znak gościowi, ażeby posłuchał najprzód małżonków zanim ich zobaczy.

— Tak — krzyczał wciąż gniewnie — dosyć już mam takiego życia . To też postanowiłem wszystko tu skończyć

— Czy samobójstwem? — zapytała drwiąco dama

— Nie, byłoby to za głupio.

— Ponieważ mówisz, że takie życie jest nieznośne..

— O! to nie ono mi tak dokucza, tylko mi je pewna istota tak obrzydza.

— Więc znalazłeś sposób dla pozbycia się tej istoty?

— Tak, jak mówisz, niezawodny środek, dla wyzwolenia się z tego jarzma zbyt upokarzającego.

— I cóż to za sposób?

— Tak się urządzić, ażeby być wolnym

— A czy można wiedzieć, kiedy to zamierzasz przeprowadzić?

— Jak najprędzej, moja droga Będę po raz ostatni tyle uprzejmym, że nie dam ci zbyt długo czekać — dodał mąż tonem drwiącym.

Stanisław widocznie wytłomaczył sobie te słowa w sposób złowrogi, bo, nachylając się ku gościowi i odźwiernemu, którzy słuchali, nie ruszając się z miejsca, szepnął do nich:

— O! więc mieszczuch chce jej chyba skręcić kark. Szkoda że muszę ten kąt opuścić dziś wieczorem... napatrzyłbym się ciekawych rzeczy.

Czy to skutkiem wstrętu ze znajdowania się

w towarzystwie z tym hultajem, czy też uważając za niegodną rolę podsłuchiwana pododrzwiami, nie możemy wiedzieć, która z tych pobudek skłoniła młodzieńca, dość, że przerwał lokajowi mówiąc doń rozkazująco:

— Zapukaj zaraz do tych drzwi

Ten ton przerwał odrazu poufałość lokaja, który też zapukał kilkakrotnie do drzwi. Kłótnia ustała natychmiast.

— Przyszedł jakiś pan obejrzeć mieszkanie.. pokazałem już tamte pokoje.. teraz czeka tu, bo chce zobaczyć pokój stołowy — oznajmił służący, wsuwając głowę przez na wpół uchylone drzwi.

— Wprowadź — odpowiedziała dama.

Na tę odpowiedź przybysz przestąpił próg i po niemym ukłonie powiódł dokoła pokoju wzrokiem, który, kilkakrotnie spoczął i na gospodyni.

Wysmukła, pełna wdzięku, dystyngowana, najcnotliwszego mogłaby skusić, tak była ponętną w szlafroku rannym, z bujnymi włosami, jeszcze swobodnie wijącymi się nad twarzyczką, jaśniejącą od młodości i szczęścia.

Co do męża, służący trochę przesadził jego karykaturalność. Zapewne nie był to Adonis, ale nie był on również opisanym potworem. Wątły i mały, pod tą nikłą powierzchownością, ukrywał żywotność nerwową i energję nie cofającą się przed żadną przeszkodą.

Coś było ze zdradzieckiej natury kociej w tym człowieku, którego twarz pozostawała martwą literą dla badacza; broda zasłaniała mu prawie całą twarz, okulary zaś niebieskie ukrywały małe oczki szare, o powiekach chorobliwych, ale wzrok ich jednak zdradzał popędy nizkie i gwałtowne. Słowem widok jego, bynajmniej nie pobudzał do śmiechu, lecz raczej przejmował odrazą i wstrętem.

Ażeby wytłómaczyć, jakim sposobem kobieta młoda, piękna i bogata zaślubiła tego człowieka bez grosza, trzeba było chyba przypuszczać, pomimo potworności tego związku, że uległa jednemu z tych dziwacznych kaprysów serca kobiecego, które usprawiedliwiają przysłowie, że najładniejsze kobiety należą z prawa do najbrzydszych mężczyzn.

Stanisław, skoro tylko wprowadził obcego przybysza do pokoju jadalnego, uznał za stosowne odejść. Pozostał więc sam tylko odźwierny, Ignacy, i z uszanowaniem, w postaci nieruchomej czekał przy drzwiach ażeby odprowadzić gościa po skończonych oględzinach.

Spostrzegła go kobieta, której wzrok zwrócił się najpierw ciekawie na młodzieńca przybyłego.

— Czy nie przyszedł do nas jaki list? — zapytała odźwiernego.

I, jakkolwiek ta liczba mnoga *my*, obejmowała jej męża tak dobrze jak i ją, mrugnęła szybko na odźwiernego, czego nawet nie dostrzegł jej mąż, ale co zauważył gość, który korzystając z tego, że zwróciła głowę ku Ignacemu, mógł się przyjrzeć dobrze jej bardzo ujmującej twarzyczce.

— Nie, proszę pani, w pierwszej poczcie nic nie było.. jeżeli w drugiej co będzie, to przyniosę zaraz — odpowiedział stróż, uważając za stosowne przemilczeć, iż nowy transport listów leżał już na stole w jego izdebce.

Przybysz poszukujący lokalu, przepraszając za natręctwo swoje, oddalił się, poprzedzony przez stróża, któremu pilno było znaleźć się na schodach, ażeby się dowiedzieć, czy może liczyć na ów zarobek stu franków miesięcznie.

— Czy spodobało się mieszkanie panu? — zapytał zaraz na pierwszym schodzie, głosem wzruszonym.

Nieznajomy musiał być jeszcze pod wrażeniem, bo, zamiast odpowiedzić na zapytanie, potrząsł lekko głową i wymówił:

— O! to ładna kobieta!

— Pani Dargon — wtrącił stróż.

Nagle kandydat na lokatora zapytał raptownie:

— A czy ma ona kochanka?

— O!.. — wyrzekł stróż zgorszony.

— Mówże, tak, czy nie — nalegał pytajacy, który, przypomniawszy sobie znaki porozumiewające, dawane przez panią cerberowi, wywnioskował, iż tenże musi znać jej tajemnice.

— Nie. To prawdziwy anioł cnoty — oświadczył odźwierny.

To oświadczenie nie zadowoliło ciekawego, który podchwycił ze śmiechem.

— Ponieważ ma dom opuścić, nie masz potrzeby jej oszczędzać.. tymczasem ja będę przecież tu lokatorem.

— A! więc pan bierze mieszkanie? — przerwał uradowany Ignacy

— Odpowiedz najprzód na me pytanie, czy pani Dargon ma kochanka?

Odźwierny podniósł uroczyście rękę do góry i tonem, tchnącym szczerością, wyrzekł:

— Przysięgam panu, że nie widziałem nigdy, ani nie słyszałem nic takiego, coby mogło splamić reputację tej pani.

— O! — rzekł młodzieniec — ta wierność dla tej małpy, z którą tak się cierpko obchodzi, byłaby nadzwyczajną.

— Czy pan wynajmuje mieszkanie? — powtórzył odźwierny, wracając do swego przedmiotu.

— Tak. Wszak powiedzieliście mi, że właściciel pan Leon Barantel, mieszka tutaj obok?

— W domu sąsiednim.. który do niego należy również, jak miałem zaszczyt panu powiedzieć.

— Na którem piętrze?

— Także na drugiem.. tak samo jak państwo Dargon.

— To zapoznam się zaraz z moim przyszłym właścicielem domu i poproszę go o małe reperacje, które wydają mi się koniecznemi — rzekł młodzieniec, opuszczając odźwiernego przy jego izdebce, do której doszli, rozmawiając.

Minuta ledwie upłynęła, a już ukazał się znów w chwili, kiedy odźwierny upewnił się ostatecznie, czy między listami, położonymi na stole przez listonosza, nie znajdował się jaki, adresowany do pani Dargon.

— To pan nie długo rozmawiał z panem Barantelem — odezwał się odźwierny, zdziwiony tak rychłym powrotem.

— Kolega wasz z domu sąsiedniego powiedział mi, że właściciel wyjechał dziś zrana na dni kilka... Spodziewam się, że macie prawo wynająć lokal podczas jego nieobecności?

— To wszystko jedno, jak gdyby pan się zgodził z panem Barantelem samym.

— Więc możecie zdjąć kartę z bramy, a to za wasze pośrednictwo.

I młodzieniec, położywszy dwa luidory na stole odrzekł:

— A zapiszecie sobie miejsce, gdzie możecie zebrać wiadomości o mnie.

— Co! jabym się miał o pana rozpytywać — podchwycił Ignacy z uszanowaniem. — Alboż to ja nie poznam odrazu, z kim mam do czynienia.

— To przynajmniej zapiszcie moje nazwisko.

— Chyba dlatego, ażeby być panu posłusznym.

— Cezar Desormeaux — podyktował hojny lokator.

A gdy odźwierny skończył pisać, dorzucił:

— Zapewne jutro przyjdę z tapicerem, ażeby wziąć tam na górze rozmaite miary.

— Ja i Eudoksja, a żałuję, żem jej nie mógł dzisiaj panu przedstawić, będziemy całkiem na usługi pańskie — oświadczył odźwierny, odprowadzając aż na ulicę odchodzącego pana Desormeaux

Rzeczywiście nazajutrz przybył tenże wraz z zapowiedzianym tapicerem.

Odźwierny tym razem przyjął go z twarzą pomieszaną i oczyma wystraszonemi.

— O! więc mnie nie poznajecie? — zapytał młodzieniec.

— O! poznaję... to pan wynajął mieszkanie na drugiem piętrze.

— Tak... No więc cóż?

— Ha! to muszę pana uprzedzić, że niepodobna będzie w terminie oddać panu ten lokal.

— Co! Czy pani Dargon zechciała w tem mieszkaniu pozostać?

— A! biedna kobieta! jakżebym pragnął, ażeby to było możebne... Widzę ją jeszcze, jak stała tu, gdzie pan, przyszedłszy wczoraj do mej izdebki, idąc na spacer, ażeby mnie zapytać po raz drugi, czy niema do niej listu.

Cóż więc się wydarzyło tej ślicznej kobiecie?

— Została zamordowaną nocy zeszłej — wyjąkał Ignacy boleśnie.

(C. d. n.)

UKRYTE MILJONY.

POWIEŚĆ Z KRAJU BOERÓW

z angielskiego

H. J. Rosny.

Tajemnica.

I.

Położona przy ulicy Eglantines w Paryżu i należąca do Thelenów posiadłość, składała się z obszernego, otoczonego ogródkiem kwiatowym domu mieszkalnego, z rozciągającego się po jego stronie lewej ogrodu warzywnego, następnie, w głębi, z fabryki, posiadającej wyjście na ulicę sąsiednią i z pokrytej dachem oszklonym pracowni artystycznej, stanowiącej laboratorjum Marcjala Thélena syna właściciela tego dworku.

Karol Józef de Thélen, potomek rodziny zrujnowanej podczas Rewolucji, jedyny z całego rodu okazał energję, gdyż nietylko wyrzekł się tradycyjnej słabości do urzędów administracyjnych, lecz nadto nauczył się emalierstwa. Rodzice długo opierali się wyborowi tego fachu i statecznie ulegli prośbom syna tylko dzięki okoliczności, że ich praodkowie protestanccy, Thélenowie Avincourtowie byli niegdyś emalierami i na przedsiębiorstwie tem dorobili się majątku. Po odwołaniu edyktu Nantejskiego, nie chcąc przemysłem swym wzbogacać Niemców. Szwajcarję lub Anglję, wyemigrowali do Przylądka Dobrej Nadziei wraz ze słynnymi wychodźcami holenderskimi, których potomkami są dzisiejsi Boerowie.

Karol Józef był prawdziwym mistrzem w swej sztuce. Z pomocą niewielkiego kapitału założył fabrykę, która rozwijała się dobrze, lecz zawdzięczając swój rozgłos tylko energji i zdolnościom właściciela, mogła upaść wraz z jego śmiercią. Napróżno usiłował on zaszczepić w swym synu zamiłowanie fachu emaljerskiego. Marcjal nietylko nie miał najmniejszej skłonności, lecz nie posiadał nawet zręczności w rękach i miał wstręt do wszelkiej pracy, z wyjątkiem umysłowej. Pochłaniała go nauka i pociągała tak charakterystyczna w naszych czasach potrzeba życia nowego, przestrzeni i przygód.

I stan fizyczny jego odpowiadał tym cechom umysłu. Marcjal pomimo pozorów prawie zniewieściałości, posiadał siłę ukrytą i oporność niesłychaną. Jak prawie wszyscy ludzie o bujnej wyobraźni, będący jednocześnie marzycielami, lubił on opierać głowę na łokciu, uwalniać mózg od ciężaru ciała.

Twarz miał małą, delikatną, rysy harmonijne, usta kształtne, dziecinne, nos prosty, włosy ciemne, czoło piękne i myślące, przecięte fałdą, zdradzającą silną wolę i upor, brwi czarne, potężne, w kształcie łuku, oczy zazwyczaj łagodne, zdolne jednak w danym razie do wyrażenia gniewu strasznego. Oczy te, ciemne w stanie spokoju, przybierały w chwilach wzburzenia zielony kolor wód oceanu, jak oczy wielu bretończyków, a zmiana ta wraz z surowemi wtedy rysami twarzy, nadawała jej wyraz tak odmienny, że nawet niektórzy znajomi nie mogli zgodzić się co do szczegółów jego portretu.

Studja Marcjala zdradzały stronę awanturniczą jego charakteru. Były one rozległe, lecz dotyczyły przeważnie nowych gałęzi wiedzy. Archipelagi oceanu Wielkiego, kraje Afryki środkowej, pustynie australskie, lub niedostępne lasy nad rzeką Amazonką nęciły go więcej niż geografia Europy. Z fizyki zajmowały go najwięcej zjawiska tajemnicze, zwłaszcza dotyczące magnetyzmu i elektryczności. Prace jego w tym zakresie były poważne, a dwa memorjały, złożone Akademji nauk, uczyniły znanem jego nazwisko.

Siostra Marcjala, Augustyna de Thélen, jakkolwiek posiadała wiele cech wspólnych z bratem, wiele jednak różniła się od niego. Wytrwała i stała w postanowieniach, lubiła cele wyraźne, łatwo osiągane zadowolenie, pochodzące z przedsięwzięć określonych jasno. Wszystko w niej objawiało energię wrodzoną. Była piękną, zbudowaną doskonale i wytrwałą na wszelkie trudy. Miała oczy ciemne, jak jej brat, lecz wielkie i nieco zaokrąglone, brwi wydatne, rozlaną dobroć na całej twarzy i w uśmiechu. Była praktyczną, inteligentną i wesołą.

Pewnego poranka marcowego, Józef Thélen wraz z córką udali się do ogrodu, ażeby odwiedzić Marcjala w jego laboratorjum. Pogoda była piękna nadspodziewanie. Łagodna zima, bez mrozu, wyczerpała się w deszczach i mgle, więc rośliny i drzewa pokryły się pączkami, oczekującemi tylko pierwszego dnia słonecznego, ażeby wypuścić swe drobne świeże listki. Niebo było jasne, tylko mocny wiatr pędził ku wschodowi szmaty chmur, których szalony bieg nadawał naturze pozór nieładu. Znęcone ciepłem ptactwo wesoło świergotało wśród drzew ogrodu.

Augustyna, upojona widokiem budzącego się życia natury, przytuliła się do ojca i zawołała w zachwycie:

— Ojcze kochany, jak piękne to życie i jak ja ciebie kocham!

Starzec uśmiechnął się. Jego córka i syn stanowili największe szczęście, za które wraz z żoną swą codziennie składał podziękowanie Bogu.

Przyspieszyli kroku i weszli do laboratorjum. Marcjal siedział przy stole, mając przed sobą jakiś przyrząd, w którym druty elektryczne łączyły się z błyszczącemi płytami miedzianemi, a wielkie wiązki światła, rozszczepione przez pryzmaty i zbierane przez soczewki, znaczyły swój bieg ruchem pyłu świetlnego.

W laboratorjum znajdował się młodzieniec drugi, liczący lat około trzydziestu, blondyn, o oczach błękitnych i cerze świeżej. Był to Jan Chevrot, współpracownik, wielbiciel i uczeń Marcjala. Spojrzał on na Augustynę i spostrzegłszy, że jest uśmiechniętą i serdeczną, zdradził swe zadowolenie w wyrazie twarzy.

Augustyna, czując spoczywający na sobie wzrok jego, z którego miłość tryskała, zarumieniła się nieco i stała się przez to jeszcze piękniejszą.

Marcjal z radością powitał ojca i siostrę.

— Jak idzie ci, Marcjalu? — zapytał ojciec.

— Dobrze. Jak już mówiłem niedawno, nabywam

coraz więcej tego, co nazywam „szczęśliwą ręką“, a co w rzeczywistości niewiele ma wspólnego z powodzeniem, gdyż jest niczem innem, jak tylko zręcznością w dobieraniu substancji i stosowaniu ich odpowiednio do celu. Ta część mego fachu wynalazcy jest w gruncie rzeczy bardzo delikatną, bo gdy przywiązuję do niej za wiele znaczenia, to schodzę do roli prostego robotnika, gdy zaś pomijam ją, staję się tylko uczonym teoretykiem.

— Tak — odrzekł ojciec — masz upodobanie w rzeczach tajemniczych i dlatego to nigdy nie mogłeś zasmakować w emalierstwie.

Po słowach tych, wypowiedzianych z niezmiernym smutkiem, nastąpiło milczenie tak przykre dla wszystkich, że po kilku chwilach starzec odezwał się:

— Przepraszam cię, Marcjalu, za wznowienie tej kwestji. Wiesz przecież, że nie chciałem robić ci wyrzutów, lecz dręczy mnie troska o przyszłość. Dla ciebie byłoby zabawką dziecinną prowadzić dalej fabrykę tak jak dziś jest prowadzoną i zabezpieczyć przyszłość wszystkich... Zwłaszcza z pomocą Augustyny. Lecz dajmy pokój temu — z udaną wesołością mówił dalej starzec. — Niech cię nie dziwią te myśli czarne człowieka, który spędziwszy życie na ciężkiej pracy, lęka się swoich najbliższych pozostawić w nędzy. Chociaż zdaje mi się, że dożyję jeszcze tryumfu Marcjala. Zresztą, powtórzę, co już mu nieraz mówiłem, iż podoba mi się wybrany przez niego fach, jestem z niego dumnym i za nic w świecie nie zmuszałbym go do innego. Nie o wyrzuty więc chodzi, lecz o żal. Gdybym naprzykład umarł jutro, to przyszłość twoja byłaby zachwianą i nie mógłbyś dalej oddawać się swym badaniom, stanowiącym nasze szczęście, naszą dumę. To mianowicie chciałem wyrazić.

— Kochany ojcze — odrzekł Marcjal — wiemy, że zawsze cenisz się mniej niż wart jesteś. Nie chcesz wierzyć, że jesteś prawdziwym artystą i sądzisz, że potrafiłbym zastąpić ciebie. Widząc, że w kwestjach zawiłych objawiam nieco inteligencji, przypuszczasz, że okazałbym się zdolnym i w twoim fachu. Lecz zaślepia cię skromność i miłość ojcowska. Emaljerstwo nie jest rzeczą tak łatwą jak ci się zdaje i ja nie umiałbym prowadzić fabryki tak. jak ty ją prowadzisz. Co do twojej śmierci, kochany ojczę, to byłaby ona dla nas nieszczęściem tak wielkiem, że wszystko inne stałoby się rzeczą podrzędną. Myśl więc o swojem zdrowiu, które jest dla nas bardzo cennem i przestań niepokoić się o nasz los.

— Nie rozumiem — dodała Augustyna — dlaczego ojciec, ciesząc się zdrowiem tak dobrem, mówi nam o swej śmierci.

— Moi drodzy, nawet przy najlepszem zdrowiu nie należy ufać przyszłości. Człowiek tak spracowany jak ja i parę razy w życiu już zagrażany śmiercią, powinien być przygotowanym na wszystko. Zresztą macie słuszność, usiłując wbić we mnie myśli weselsze. Nie powinno mnie to jednak powstrzymywać, z obawą czy bez obawy, od zaznajomienia was ze stanem moich interesów i od przyjęcia współpracownictwa Augustyny.

— Ależ ja jestem tem zachwycona! — zawołała młoda dziewczyna. — Więc ojciec naprawdę ufa mi i ceni mą pomoc?

— Moja droga, posiadasz spory talent i masz gust. Ostatnie roboty zdecydowały mnie. Zabieram ciebie.

— Widział ojciec moje próbki.

— Widziałem i mocno się zdziwiłem. Uczyniłaś wielkie postępy w ciągu roku ostatniego.

— Zadowolony ojciec?

— Bardzo.

— W takim razie dla wynagrodzenia mnie, opowiedz Marcjalu szczegółowo jak daleko zaszedłeś w badaniach swych.

— Opowiedz — dodał Józef do Thélen, siadając i kładąc rękę na piersiach z wysiłkiem, dla ukrycia dolegającego mu bólu.

— Czy cię co boli, ojcze? — zapytała Augustyna.

— Dokucza trochę reumatyzm, ale to przejdzie. Mów Marcjalu, powiedz nam co o swych pomysłach dzisiejszych.

— Słusznie ojciec mówi „o pomysłach dzisiejszych“, gdyż w badaniach moich, często, z powodu jakiegoś punktu spornego, potrzeba szukać dróg innych, napozór różniących się od dotychczasowych. Od kilku dni jestem właśnie w takiem położeniu. Przypominacie sobie zapewne, że ostatnie moje badania dotyczyły promieni, otrzymanych przez Croo kesa w próżni i przechodzących przez płytę aluminiową i inne ciała przeźroczyste.

— Pamiętamy — odrzekła Augustyna - i wydało nam się to dziwnem.

— Światło to i wpływ ciał magnetycznych na mnie skłoniły mnie do zajęcia się własnością magnetyczną różnych ciał i oto do czego doszedłem.

Po tych słowach Marcjal opowiedział szczegółowo swe poszukiwania i wykazał dokonane odkrycia. Józef Thélen i Augustyna słuchali go z zachwytem. Gdy skończył, starzec zakonkludował:

— Więc uważasz, że można magnetyzować ciała, dotychczas działaniu temu oporne. Czy wiesz, że odkrycie to może mieć ogromne znaczenie praktyczne.

— Nie sądzę.

— Jeżeli naprzykład znajdziesz sposób magnetyzowania igły miedzianej, srebrnej lub złotej, to czyż nie można będzie z pomocą jej odkryć pokłady tych metali?

— Być może, ale to niepewne. Igła stalowa, rzeczywiście, wskaże obecność masy żelaza, ale nie wskaże miedzi. Przynajmniej wskazówki jej będą niedostateczne.

— Tak, ale igła miedziana wskaże miedź; srebrna, srebro; a złota, złoto.

— Nie zdaje mi się. Zapominasz, kochany ojcze, że żelazo z natury swej jest magnetycznem, gdy tymczasem metale inne nie posiadają tej własności. Magnetyczne igły srebrne lub złote będą wyrobem sztucznym. Mimo to, choć nie ma w tem przypuszczeniu racji *a priori*, ale doświadczenia mogą mu przyznać trafność. Wiele jest hipotez potwierdzających to mniemanie!

— Wszystko to rzeczy ogromnie ciekawe. Z zajęciem będę śledził twe badania dalsze.

Przez cały czas tej długiej rozmowy Jan Chevrot siedział na drugim końcu laboratorjum, słuchając opowiadania Marcjala i od czasu do czasu zwracając wzrok na Augustynę. Niekiedy spotykał się i z jej wzrokiem, a wtedy bladł i doznawał wrażenia jak gdyby serce zamierało mu w piersiach. W chwilach milczenia, z początku trzymał się zdala, następnie powoli podszedł do grupy, złożonej z ojca i dzieci. Po niejakim czasie było tak widocznem, iż chce coś powiedzieć, że stary Thélen spojrzał na niego ze zdziwieniem. Jan podszedł jeszcze bliżej.

— Czy masz co do powiedzenia nam, kochany Janie — życzliwie zapytał fabrykant.

Jan Chevrot był przyjacielem Marcjala od lat najmłodszych. Ojciec jego, ogrodnik z okolicy, zrobił majątek na hodowli konwalij, lilij białych i róż, według metody holenderskiej. Będąc chciwym i próżnym, pozwolił synowi oddawać się naukom pod kierunkiem Marcjala, lecz wzamian wymagał, ażeby nie zaniedbywał ogrodnictwa. Jan chętnie zgodził się na ten warunek. Nie posiadał on zdolności Marcjala, zwłaszcza daru odgadywania, właściwego wielkim wynalazcom, lecz był niezmiernie sumiennym i pracowitym. Był cierpliwym, roztropnym, lecz nie posiadał dość silnej woli.

Usłyszawszy zapytanie starca, zarumienił się, zawahał, lecz prędko zapanował nad wzruszeniem i, unikając wzroku Augustyny, odrzekł:

— Tak, panie. Oddawna kocham Augustynę i nazwałbym się szczęśliwym, gdybym mógł ją zaślubić. Nie mówiłem dotychczas o tem, gdyż pragnąłem pierwej poradzić się mych rodziców. Wczoraj otrzymałem ich zezwolenie i jeżeli pan nie znajduje żadnej przeszkody, proszę o pozwolenie widywania jej w charakterze narzeczonego.

Dziewczyna zmieszała się niezmiernie. Wprawdzie wiedziała, że Jan kiedyś oświadczy się o jej rękę, ale wrodzona wstydliwość, silniejsza niż rozumowanie, wywołała w niej wrażenie, jak gdyby Jan powiedział coś nadzwyczajnego i nagannego. Z przestrachem spojrzała na ojca i brata, ale Marcjal uśmiechał się, a ojciec odrzekł poważnie:

— Ależ to dla mnie zupełna nowość.

Augustyna i Jan smutnie pochylili głowy.

— Nie przypuszczałem, żeście tacy skryci — mówił dalej ojciec. — Jakto, Augustyno, kochałaś go, a ja o tem nie wiedziałem!

— Proszę ojca — wyjąkała.

Starzec uśmiechnął się, lecz nie zmieniając tonu, zwrócił się do Marcjala:

— A ty wiedziałeś co o tem?

— Nic a nic — odrzekł w myśl ojca. — Z niektórych słów Jana domyślałem się, że pragnie wejść do naszej rodziny, ale uważałem je za zwykłą życzliwość...

— Marcjalu! — zawołał Jan zrozpaczony.

Ton jego głosu, pochodzący z głębi duszy naiwnej, wzruszył ojca i syna i wywołał na usta uśmiech przyjazny.

— Jestem pewnym, że dobrze naradziliście się, nim przyszliście prosić o nasze zezwolenie.

— Ojcze, przysięgam...

— Jakto, Jan nie pytał czy się zgadzasz?

Narzeczeni znowu pochylili głowy, Marcjal i jego ojciec spoglądali na nich z rozrzewnieniem.

— Zasłużyliście na zwłokę w odpowiedzi, lecz żal mi was. Chodź, Janie, niech cię uścisnę. Pamiętaj, mój drogi synu, że szczęście Augustyny zależy od ciebie. Strzeż tego szczęścia wytrwale i energicznie.

— Uczynię wszystko, co będzie w mej mocy — odrzekł Jan.

W tej chwili u drzwi, wiodących z ogrodu na ulicę, rozległ się dźwięk dzwonka.

— To ten anglik — z niechęcią rzekł fabrykant.

— Ten słynny zbieracz wyrobów emaljowanych? — zapytała Augustyna.

— Tak. Przecież wie, że nie sprzedajemy w fabryce...

— Nie lubi go ojciec? — zapytał Marcjal.

— Nie lubię. Niepodoba mi się jego twarz. Przyjmuję go niechętnie, ale nic go nie zraża. Nie jestem zabobonnym, lecz zauważyłem, że dwa jedyne nieszczęścia, jakie nas dotknęły przed czterema laty,

następiły wkrótce po pierwszych dwóch wizytach tego anglika.

— Mówi ojciec o kradzieży i pożarze?

— Tak.

— Dziwni to byli złodzieje, gdyż nic nie ukradli i tylko rozbili starą szafę w bibljotece.

— Myśleli, że chowam w niej moje skarby.

— Czy jesteś pewnym, ojcze — zapytała Augustyna — że nie ma w niej jakich skarbów? Nigdy nie otwierałeś jej.

— Rzeczywiście, niech ojciec pozwoli mi otworzyć ją — rzekł Marcjal.

— Nie mówmy o tem — niechętnie odrzekł stary Thélen. — Poczekaj aż umrę.

— Ojcze!

— Nie, kochane dzieci, nie lubię historji tej szafy. Widziałem raz jej zawartość tajemniczą. Są to stare papiery nieużyteczne. One to doprowadziły do obłąkania waszego pradziadka. Ojciec mój nie lubił ich i często mawiał:

— „Patrz, tam spoczywa urojenie, fałszywa nadzieja, szczęście niemożliwe. Uciekaj od tego jak od zarazy!“ Pragnąłem, ażeby Marcjal stał się wielkim, w obszernem znaczeniu tego słowa uczonym i pracował nad stosowaniem nauki do rzeczy realnych. Ale skoro wybrał działalność na polu innem, to niechże ona nie będzie gonitwą za wzruszeniami sztucznemi, lecz szlachetną odwagą uczonego. Pamiętaj o tem, mój synu i dobrze się namyśl, nim otworzysz tę szafę, zawierającą w sobie urojenie, a której sekretu nie znam i nigdy nie starałem się poznać.

Uroczysty i smutny ton słów starca uczynił przykre wrażenie na wszystkich. Augustyna uścisnęła ojca i przyrzekła mu posłuszeństwo.

— Wszak widzicie — wesoło odrzekł fabrykant że szafa ta jest źródłem nieszczęść, gdyż była celem kradzieży i pożaru.

— Więc ojciec przypuszcza, że ten pożar?

— Wydaje mi się dziwnem, że dla ugaszenia go zjawili się ludzie, którzy przedewszystkiem usiłowali wedrzeć się do bibljoteki.

Marcjal, Augustyna i Jan spojrzeli po sobie zdziwieni.

— Zapewne — zauważył Marcjal — jest w tem jaka zagadka, którą ojciec powinien nam rozwiązać.

— Wyjaśnię ją w testamencie.

Ta myśl o śmierci, prawie pomimowoli powracająca po raz trzeci, przeraziła Marcjala i Augustynę.

Wszedł służący i powiadomił o przybyciu anglika.

II.

Przez cały ten rok Józef de Thélen pracował z niezwykłą wytrwałością. Z każdym też dniem prawie fabryka jego rozwijała się tak, że podczas lata zmuszony był wznieść nowe budynki, gdyż dotychczasowe były już niedostatecznemi. Pomagająca mu w pracy Augustyna również coraz lepiej oswajała się z tokiem przedsiębiorstwa. Popołudniowe godziny przepędzali zwykle razem w gabinecie obok fabryki lub w bibljotece domu mieszkalnego. Często przesiadywała z nimi matka Augustyny, a wtedy czas upływał im przyjemnie, przeplatany słowami nie częstemi, lecz serdecznemi jak zwykle w kółku ludzi szczęśliwych.

Przyszłość zapowiadała się świetnie. Pan Thélen oczekiwał rychłego nadejścia chwili, w której fabryka jego miała mu przynosić trzydzieści tysięcy franków dochodu rocznego. Jeszcze lat dziesięć, a będzie się cieszył swymi wnukami, oraz patrzał na szczęście Augustyny i sławę Marcjala.

O tem najwięcej myślał i marzył. Dla tego syna uczonego i ukochanego, któremu przyznawał tak wzniosłą duszę, jakiej nie posiadał żaden z jego przodków, pragnął tryumfu i powodzenia, pragnął usunąć z jego drogi cierpienia towarzyszące wynalazcom ubogim i sławnym uczonym, wyzyskiwanym przez chciwych finansistów, zmuszonym oddawać się pracy podrzędnej i upokarzającej.

Więc stary ojciec pracował bez wytchnienia. Niestety! pracował zawiele. Kilka razy chwilowe przypadłości ostrzegały go o niebezpieczeństwie; ból w piersiach powracał coraz częściej, lecz starzec nie zważał na to i pracował dalej. Pewnego dnia w początkach września, siedząc w pracowni, rozchorował się tak nagle, że robotnicy na rękach odnieśli go do mieszkania. Gdy pomimo najgorliwszych starań lekarzy niebezpieczeństwo wzmagało się, chory przywołał syna i córkę i z trudnością oświadczył im:

— Gdybym był pożył jeszcze kilka lat... lecz już za późno... Zresztą, ty pomożesz Augustynie... Pracując we dwoje, zyskacie na czasie... Nietrudno będzie... Znają was...

Mówił dalej o swych interesach słowami urywczemi, bez związku, dodawał odwagi żonie rozpaczającej, oddychał ciężko jeszcze przez godzinę, wreszcie zasnął na wieki.

Rodzina nie była przygotowana do tej katastrofy. Mogła wprawdzie w dziale technicznym znaleść pomoc w doświadczeniu Nolla, starszego robotnika, człowieka uczciwego, pracującego w fabryce od chwili założenia jej, mimo to jednak była zmuszoną powstrzymać się od wyrobu sztuk większych

i poprzestać na mniejszych, służących do użytku codziennego. W tak ograniczonym zakresie mogła pochlebiać sobie Augustyna, że podoła zadaniu i nie dopuści do upadku natychmiastowego.

Marcjal po otrząśnięciu się ze swych marzeń naukowych, usiłował być pomocnym swej siostrze. Ale to, co mógł uczynić, Nolle wykonywał sto razy lepiej niż on. Gust i zdolności Augustyny wykazywały się coraz wyraźniej.

Z drugiej strony, stanowczość dziewczyny i jej energia niezłomna zapewniły jej poważanie tak wielkie, że pomoc Marcjala, nawet pod względem moralnym, okazała się zbyteczną. Czyniąc sobie surowe wyrzuty, rozmyślał bezustannie i szukał pola, na którem mógłby zużytkować swą działalność na korzyść wszystkich. Przyjąć jaką posadę? Myśl ta wywoływała w nim dreszcz wstrętu. Wziąć się do handlu? Bał się utracić skromne zasoby, pozostawione przez ojca, potrzebne do zaspakajania potrzeb fabryki.

Tak upłynęło trzy miesiące. Nadszedł luty, a wraz z nim dłuższe dni i coraz wyżej wznoszące się słońce, wlewały w dusze nadzieję i usposabiały do tworzenia rozległych projektów. Marcjal całe ranki i wieczory spędzał w bibljotece ojca na czytaniu i przeglądaniu papierów. Ale i czytanie, stanowiące niegdyś posiłek duchowy i przynoszące korzyść, teraz miało znaczenie opium, służącem do odpędzania smutku i znudzenia. Czytał od rana do wieczora, bez wyboru, wszystko co wpadło mu pod rękę, jak gdyby się lękał pozostawać z własnemi myślami i z wyrzutami sumienia za karygodne próżniactwo.

Co robić? Dalsza praca na polu naukowem była z braku środków, niemożliwą; do zajęcia się w fabryce nie posiadał ani usposobienia ani zdolności, opuszczenie kraju nie dawało najmniejszej pewności powodzenia.

I wracał znowu do starych ksiąg, listów i pargaminów przechowywanych w bibljotece ojcowskiej, czepiał się wyrazów, usiłował śledzić bieg myśli, lecz pomimo wysiłku czuł ból w sercu i wyrzuty za życie marnowane w bezczynności.

III.

W takich chwilach mimowoli przychodziły mu na pamięć słowa ojcowskie. Zagadka, na rozwiązywaniu której splątał się umysł jego pradziadka, nęciła go coraz mocniej. Miał nadzieję, że będzie od niego szczęśliwszym. Czyż on, obdarzony inteligencją wyższą, nie potrafi przeniknąć tej tajemnicy, zapewne bardzo ważnej, skoro dla niej usiłowano nawet podpalić dom, by wedrzeć się do bibljoteki?

A czyż może być chwila bardziej usprawiedliwiająca go niż obecna, gdy rodzina znajduje się w potrzebie, fabryka zagrożona upadkiem, a on sam, może wkrótce będzie zmuszonym jąć się jakiej pracy podrzędnej? Ujął głowę w dłonie i mówił:

— Marzyłeś, ojcze, dla mnie o przyszłości świetnej, ośmielałeś mnie, kazałeś mi wierzyć że posiadam zdolności, właściwe tylko istotom wybranym... i patrz co się ze mną dzieje... Jeżeli istnieje jaki sposób ocalenia od zguby siebie i rodziny, to czyż nie powinienem z niego skorzystać?

Pamiętał jednak jak dalece ojciec nie lubił tej szafy i niechęć ta powstrzymywała go od zbadania jej. Odbyta z matką i siostrą rozmowa, zdecydowała go nareszcie. W przeciągu trzech miesięcy sprawy fabryki wyjaśniły się. Augustyna ostatecznie okazała się niezdolną do wykonywania wielkich robót artystycznych swego ojca i oddała się wyłącznie pracom drobniejszym. A ponieważ przyszłość rodziny zależała od robót wielkich, oryginalnych, należało więc oczekiwać dochodów z fabryki, wystarczających tylko na chleb powszedni.

Teraz Marcjal nie wahał się już więcej i w pierwszych dniach marca rozpoczął poszukiwania systematyczne z jasno określonym zamiarem rozwiązania wielkiej zagadki, która pradziadka jego doprowadziła do obłędu.

I postanowił zużytkować nietylko całkowitą energię, lecz zastosować stałą metodę, te straszne narzędzie w rękach uczonych czasów bieżących.

O tajemnicy tej wiedział bardzo mało, zaledwie kilka niejasnych słów ojca, opowiadanie o obłędzie pradziadka, odwiedzinach anglika, pożarze i wdarciu się nieznanych osób do bibljoteki, prawdopodobnie w zamiarze pochwycenia jakiego dokumentu.

Ale Marcjal mógł już z tego wszystkiego wnioskować, że chociaż tajemnica była starą, posiadała jednak wartość wielką. Zbrodnia, której nie wahano się popełnić w celu przywłaszczenia sobie jakichś papierów, była dowodem, iż nie chodziło o zaspokojenie tylko ciekawości. Przypuszczenie, że mogły to być papiery, kompromitujące jakie osoby, upadało ze względu na czas odległy. Jedyną więc pobudką mogła być tylko chciwość. Widocznie zagadka zawierała w sobie środek zawładnięcia wielkiemi skarbami.

Jakiego rodzaju jednak była ta zagadka? Józef Thélen wierzył, że to są papiery, ale powątpiewanie, z jakiem o nich wyrażał się, dowodziło, że

nie jest dokument, wyjaśniający tajemnicę. Prawdopodobnie, maniak dziadek zwierzył się przed swym wnukiem ze swych mniemanych odkryć, ale praktyczny emalier poczytał to za urojenie. Dokument. lub dokumenty, jeżeli takowe istniały, nie mogły mieć znaczenia decydującego. Mogły istnieć wskazówki ale nie pewność lub wyjaśnienie.

Marcjal nie ukrywał przed sobą trudności zadania i odrazu powiedział sobie, że czeka go praca żmudna i ciężka.

Zdecydowawszy się ostatecznie, postanowił przed rozpoczęciem poszukiwań w bibljotece, rozejrzeć się w całem mieszkaniu.

Nie wiele odkrył, ale i to co zauważył, doprowadziło go do wniosku, że w rodzinie Thélenów istniał człowiek, obdarzony inteligencją wyższą i wielkim smakiem artystycznym, i że niektóre pozostałe po nim meble wyróżniają się nietylko swą wartością estetyczną, lecz i konstrukcją, jak naprzykład pięknie inkrustowane biurko z drzewa różanego, zawierające pomimo pozoru wątłości, kasę z zamkiem niezmiernie oryginalnym i mocnym. Józef Thélen, emalier, przechowywał w niem kosztowności rodowe i miniatury Z tych ostatnich Marcjal wybrał jedną i zachował przy sobie.

Zwiedził cały dom od piwnic do strychu i zapamiętał kilka szczegółów godnych uwagi, między innemi dwa oszklone spisy książek i katalogi, ułożone w alfabetycznym porządku autorów, z odsyłaczami do dat i tytułów dzieł. Oba te spisy dokonane były jedną i tą samą ręką, i, rzecz dziwna, pospiesznie.

Nie sondował murów i nie zdzierał obicia, nie kopał również i ziemi w piwnicach, gdyż ojciec jego nabył ten dom już po śmierci dziadka. Jeżeli zaś niektóre rzeczy badał przez mikroskop, to tylko dla spokoju sumienia, gdyż był przekonanym, że dziadek jego czynił pod tym względem wszelkie możliwe poszukiwania.

Po ukończeniu tych wstępnych drobiazgowych czynności, Marcjal pewnego poranku udał się do bibljoteki, z mocnem postanowieniem dokonania poszukiwań jak najstaranniejszych.

IV.

Pokój, mieszczący w sobie bibljotekę, był bardzo obszerny. Dla utworzenia go usunięto ściany dwóch pokojów sąsiednich i trzy okna pierwotne zastąpiono jednem, szerokiem, dostarczającem dostateczną ilość światła dla całej przestrzeni.

Tak utworzony pokój, szerszy był w fasadzie domu niż w głębi. Dwa stoły, ustawione po obu stronach okna, założone były papierami i książkami; fotel, o grzbiecie niskim, nie zasłaniającym światła, stał przed oknem. Oprócz szafy z półkami, obciążonemi szeregami książek, ustawionej przy ścianie żadnych innych mebli ani obrazów w bibljotece nie było. Na stole tylko leżał nóż do przecinania kartek książki, a nadto wielki cyzelowany kałamarz miedziany, lupy, kompas, pióra i ołówki.

Przytoczony wyżej argument, mianowicie nabycie domu już po śmierci dziadka, uwalniał Marcjala od sondowania ścian. Z drugiej strony, mając do zrewidowania tylko dwa stoły i fotel, uwinął się z nimi prędko. Pozostawała tylko bibljoteka.

Dotychczas zdobył Marcjal wskazówek niewiele. Biurko z zamkiem skomplikowanym, kilka listów i stara miniatura, były rezultatem dość szczupłym w stosunku do poszukiwań tak pracowitych, ale bywają rezultaty niewidzialne, a jednak ważne i te Marcjal zdobył. Nie wiedział jeszcze nic, ale już obracał się w atmosferze zagadki.

Bibljoteka, będąca teraz celem poszukiwań Marcjala, dowodziła wyraźnie, że dziadek jego Józef de Thélen spędził całe życie na wertowaniu książek Pamiętając o bezskutecznych poszukiwaniach swego pradziadka, postanowił nie lekceważyć najmniejszego szczegółu i dlatego pomijając na teraz górną część szafy na później, zabrał się do zbadania ksiąg, ułożonych na półkach odkrytych.

Na wązkich paskach pergaminowych, przyklejonych do grzbietów książek, znajdowały się cyfry, wskazujące serje w porządku alfabetycznym, zgodnym z obecnem rozklasyfikowaniem książek. Serja A obejmowała dzieła z XV i XVI wieku, a wypisane obok cyfry wskazywały porządek chronologiczny w ustawieniu według nazwisk autorów. Zawieszona na ścianie obok szafy tablica oszklona obejmowała klasyfikację w porządku przeciwnym, t. j. według nazwisk autorów z uwzględnieniem serji i numeru porządkowego.

Marcjal natychmiast przypomniał sobie dwa spisy odkryte w poszukiwaniach wstępnych i po porównaniu ich ze spisem bibljotecznym, zauważył, że pisane były ręką obcą, lecz z zachowaniem tego samego porządku.

(C. d. n)

W JASKINI NIEDŹWIADKÓW.

(Z angielskiego).

Znużeni pracą całodzienną i gorącym skwarem siedzieli Tomek Gładych i przyjaciel jego Józek Miziołek przed drzwiami własnemi rękoma wzniesionej chaty. Od niespełna dwóch miesięcy obrabiali wspólnie z pewnym Meksykańczykiem, nazwiskiem Miguel Gonzago minę złota, położoną nad strumieniem Feather. Praca była ciężka, a mina z dniem każdym stawała się bardziej skąpą w złotodajny kruszec.

Dziś właśnie postanowili za radą Meksykańczyka porzucić miejsce, w którem dotychczas pracowali i szukać szczęścia gdzieindziej. Dwa lata pracowali już razem w pocie czoła, dzieląc uczciwie między siebie dobyty kruszec. W banku, w mieście Sacramento złożoną już mieli pokaźną sumkę, która jednak dotąd nie zaspakajała ich ambicji.

— Jeszcze dwa lata takiej pracy — mówił Tomek — a potem możemy żyć jak książęta; teraz chodzi głównie o to, co mamy dalej robić.

— Mnie się zdaje — odpowiedział Józek — że, kiedy nie możemy miny naszej sprzedać, to najlepiej ją zasypać i rozstać się z Gonzagą; ten człowiek nie podoba mi się z każdym dniem bardziej.

— Mnie również — rzekł Tomek — nic też niemam przeciwko temu, żeby się z nim rozstać; jego podejrzliwość staje się z każdym dniem nieznośniejszą.

— Otóż to właśnie; patrzy na człowieka, jak dzika bestja i gdyby wzrok mógł zabijać, dawnobyśmy już nie żyli.

Długo naradzali się obaj przyjaciele, co dalej począć mają i przyszli w końcu do tego wniosku, że nie pozostaje im nic innego, jak tylko porzucić minę, w której dotąd pracowali i ruszyć w świat.

Zaledwie nazajutrz dzień zaświtał, zabrali się do pakowania swego dobytku i do ładowania go na muły. Dobyte w ostatnich czasach złoto, którego zebrało się przeszło 100 uncji, postanowili, z powodu zbyt wielkiej odległości od Sacramento, zakopać na razie w ziemi i w ten sposób ochronić się przed możliwą stratą. Zesypali je w skórzane worki, i zakopali następnie w ziemi, w miejscu lesistem.

— Co to jest? — zawołał Tomek, oglądając się nagle. — Zdawało mi się, że słyszę szmer tam w dole, w zaroślach.

— Ba, ty w takich wypadkach widzisz zawsze jakieś strachy — odpowiedział towarzysz, pokrywając darniną świeżo przysypany otwór.

— Zdawało mi się, żem widział tam w krzakach twarz córki Miguela.

— A gdyby i tak było, to cóż z tego? Czyż nie biega cały dzień, dokoła naszej chaty? — zapytał Józek uspakajając przyjaciela.

— Nigdy jednak tak wczesnym rankiem — zauważył Tomek. — Ręczę, że wyszła żeby nas szpiegować.

Żeby uspokoić siebie i przyjaciela, przeszukał Józek dokładnie zarośle, nic jednak podejrzanego nie znalazł. Dał więc pokój dalszemu szukaniu i zabrał się do nacięcia kilku drzew dla zapamiętania, gdzie złoto zostało ukryte. Po dokonaniu tej czynności skierowali się obaj przyjaciele ku chacie, zkąd, po zabraniu mułów, udać się mieli w drogę.

Nie ruszyli jeszcze z miejsca, gdy uszu ich doleciał z daleka donośny głos meksykańskiego towarzysza pracy, nawołującego swoje muły do pospiechu. Za chwilę na tle zarośli ukazała się barczysta postać Meksykańczyka, popędzającego muła, za którym, na drugim jechała żona; córka, przyśpiewując wesoło, biegła boso przed mułami.

— Dzień dobry panom! — zawołał zdaleka Meksykańczyk. — Cieszy mnie bardzo, że widzę was gotowych do drogi — bo wszak pójdziecie z nami do Los Kios?

— Mamy zamiar iść wzdłuż rzeki i tam szczęścia próbować — odpowiedział Tomek.

— Chodźcie z nami w góry, tam jeszcze mnóstwo złota — dalibóg tyle! — zawołał Miguel, zataczając długiemi swemi ramionami łuk w powietrzu.

Propozycja ta niezbyt się jednak widocznie towarzyszom uśmiechała, bo zwlekali z odpowiedzią. Tyle już razy zawiodły ich obietnice Meksykańczyka, opowiadającego cuda o odkrytych przez siebie złotodajnych okolicach, że bali narażać się na nowy zawód. W końcu jednak,

pod wpływem wymowy Gonzagi i zachęcającego wzroku, jaki żona jego rzucała na obu towarzyszy, zgodzili się pójść z nim.

Miejscowość, którą tak różowo opisywał Gonzago, oddalona była o jakie 60 mil angielskich. Meksykańczyk nazwał ją „jaskinią niedźwiadków"; kilku mieszkających w pobliżu kopaczy złota opowiadało mu o nadzwyczajnych bogactwach, jakie jaskinia ta w swojem łonie kryje.

— I tylko niezmierna trudność w dostaniu się do niej — kończył swoje opowiadanie — i mnóstwo wstrętnych robaków, pokrywających ściany jej, wstrzymywały innych od próbowania tu szczęścia. Ale co nam to szkodzi! Złoto jest — a to dla nas główna rzecz!

Podróż była bardzo uciążliwa, nadzieja jednak wielkich zysków dodawała podróżnym sił i ochoty do przezwyciężenia trudności. Pierwsze dwa dni podróży minęły szczęśliwie, trzeciego muł, wiozący żonę Meksykańczyka, złamał nogę, musiano go więc z wielkim żalem dobić. Wreszcie czwartego dnia w południe stanęli na pięknej, gęstą trawą porosłej łące, oddalonej zaledwie pół godziny drogi pieszej od „jaskini niedźwiadków". Rozbili tu namioty i podczas gdy żona Meksykańczyka zajęła się przygotowaniem obiadu, trzej kopacze złota wyruszyli dla obejrzenia jaskini.

Krajobraz, jaki się oczom ich przedstawił, przewyższał pięknością wszystkie, spotykane dotąd. Przed nimi, na dalekim horyzoncie strzelał w niebo jeden z najwyższych szczytów pasma gór Sierra, znany kopaczom złota pod nazwą „drabiny niebieskiej."

U stóp ich rozciągała się wspaniała dolina, poprzerzynana skałami i pieniącemi się z szumem potokami górskimi. Po obu stronach stromej skały, na którą się z trudnością jeden za drugim po wązkiej ścieżynie wdrapywali, zwieszały się majestatycznie sosny. Po długiej i uciążliwej wędrówce stanęli w końcu na równinie. Przeszedłszy jeszcze niewielką gęstwinę, znaleźli się nad czarnym otworem przepaści tak strasznej, że Józek, cofnąwszy się ze strachem, zawołał do Meksykańczyka:

— Bójcie się Boga, uciekajmy czemprędzej od tej jaskini piekielnej!

— Caramba! — zaklął Meksykańczyk — jesteśmy na miejscu. To jest właśnie owa sławna „jaskinia niedźwiadków"! Co tam złota, co złota!

Towarzysze spoglądali nań z najwyższem zdumieniem.

— To wejdźcie pierwsi i przynieście nam próbkę — rzekł po chwili Józek, spoglądając z ironicznym uśmiechem na Meksykańczyka, którego twarz, pod wpływem tej niespodziewanej propozycji przybrała wyraz śmiesznego zakłopotania.

„Jaskinia niedźwiadków" była, według wszelkiego prawdopodobieństwa wygasłym kraterem wulkanu. Olbrzymi ciemny otwór, nad którym stali właśnie trzej towarzysze, obrośnięty był dokoła wysokiemi sosnami, które zwiększały jeszcze grozę, jaką jaskinia roztaczała. Z głębi otworu dochodził szum toczącego się rwącego potoku górskiego.

Po za tem panowała dokoła cisza grobowa.

Trzej towarzysze w milczeniu spoglądali w ciemny otwór, kryjący, zdaniem Meksykańczyka, tak wielkie bogactwa złota. W głowach ich nurtowały naprzemian najsprzeczniejsze myśli, w miarę tego, jak brała górę żądza posiadania złota lub obawa puszczania się na niebezpieczne przedsięwzięcie. Gdy tak stali pogrążeni w zadumie, z po za jednego z kaktusów wypełzał, ze cztery stopy długi grzechotnik, spojrzał zdziwiony na obcych przybyszów, zakłócających ciszę, poczem szybko wsunął się w otwór kratera. Ujrzawszy go Tomek odwrócił się ze wstrętem, a Józek poszedł za jego przykładem.

— Jutro weźmiemy ze sobą sznury i oskardy i zaglądniemy do wnętrza krateru — rzekł Gonzago. Towarzyszom jednak nie bardzo się jakoś uśmiechała myśl spuszczenia się do jaskini piekielnej, jak ją nie bez słuszności nazwał Tomek. Ale Meksykańczyk potrafił w tak ponętnych barwach przedstawić bogactwa, kryjące się we wnętrzu niebezpiecznej jaskini, że, aczkolwiek niechętnie, przyrzekli nazajutrz, skoro świt, powrócić tu.

Po powrocie do domu długo jeszcze w nocy rozmawiali trzej towarzysze o czekających ich przygodach; obawa niebezpieczeństwa ustąpiła przed nadzieją wzbogacenia się Ułożyli się też do snu weseli i spokojni.

Nazajutrz, równo z brzaskiem, byli już na nogach, ażeby poczynić najniezbędniejsze przygotowania. Zaopatrzywszy się w sznury i oskardy oraz w żywność na kilka dni, ruszyli w drogę. Śliczny poranek usposabiał ich bardzo wesoło. Szli szybko, jakby im zależało na tem, ażeby

jak najrychlej znaleźć się już w jaskini. I rzecz dziwna! Gdy wreszcie po parogodzinnym po chodzie znaleźli się nad czarnym otworem, wydawał się im o wiele mniej strasznym, aniżeli dnia poprzedniego.

Meksykańczyk zabrał się z wprawą czło wieka, dla którego podobnie ryzykowne przed sięwzięcia nie są wcale nowością, do uskutecznienia ostatecznych przygotowań przed opuszczeniem się do złotodajnej groty. Pewność z jaką to wszystko robił, rozwiała ostatecznie resztkę obawy, jaką jeszcze żywili towarzysze.

Uwiązawszy jeden koniec sznura dokoła drzewa, drugi przerzucił w głąb otworu i, zanim towarzysze zdać sobie mogli sprawę, co robić zamyśla, zniknął im z oczu. Musiał się spuścić bardzo głęboko, bo aczkolwiek słyszeli od czasu do czasu, jak, walcząc z przeszkodami, miotał przekleństwa, to jednak głos jego dochodził ich bardzo niewyraźnie. Po upływie kilkunastu minut z przepaści wychylił się szeroki kapelusz Meksykańczyka, a po chwili on sam, wyskoczywszy zwinnym ruchem, znalazł się przy nich.

— O, tyle złota, tyle złota tam w dole! — zawołał wesoło, dobywając z pod kapelusza dwie bryłki lśniącego kruszcu, na którego widok zabłyszczały oczy obu towarzyszom. Gdy tak z ciekawością przyglądali się żyłkom złota, pokrywającym gęstą siatką przyniesione przez Meksykańczyka bryłki, z góry już obliczając w myśli olbrzymie zyski, nagle z jednej ze szczelin wysunął się niedźwiadek i wypełzał z zadziwiającą szybkością w głąb przepaści. Nie zraziło to ich jednak, zdawało się nawet, że nie zauważyli wstrętnego stworzenia.

Gonzago opowiadał, że opuścił się ledwie na 30 stóp głębokości, i że to, co tam widział, przechodzi wszelkie pojęcie. Ściany jaskini lśnią formalnie od złota i to złota tak czystego, jakiego dotąd nawet nie widział. Towarzysze zaczęli się już niecierpliwić; chcieli opuścić się jaknajprędzej w głąb jaskini i na własne oczy zobaczyć te skarby.

Meksykańczyk był zdania, że najlepiej będzie, jeżeli jeden z nich tylko opuści się w głąb, a dwaj inni uważać będą, ażeby w razie potrzeby pospieszyć mu z pomocą Propozycję tę przyjęto, gdy jednak pszyszło do tego, kto ma być pierwszy, powstała sprzeczka, którą dopiero los rozstrzygnął, przeznaczając Tomka na pierwszy ogień.

Tomek w jednej chwili był gotów; zabrawszy dostateczną ilość zapałek, kilka pochodni i oskardów przerzucił przez ramię kilka worków, z których jeden napełniony był żywnością, a reszta służyć miała do chowania dobytego złota, poczem okręcił się w pasie sznurem i pożegnawszy towarzyszy skinieniem ręki, zniknął w przepaści.

Zrazu przeszedł go dreszcz, gdy spojrzał w bezdenną przepaść pod sobą; była nawet chwila, że chciał krzyczeć na towarzyszy, żeby go czem prędzej wyciągnęli na górę, powoli jednak zapanował nad sobą i tylko kurczowo ściskał sznur. I teraz dopiero zauważył, że sznur był nadzwyczaj słaby; myśl, że mógłby się przerwać pod jego ciężarem, napełniła go nowym, jeszcze większym strachem, lecz i tym razem zapanował nad sobą i starał się tylko uchwycić nogami jaką wystającą część skały, na której mógłby stanąć bezpiecznie i zabrać się do dobywania kruszcu, który w wielkiej obfitości pokrywał ściany jaskini.

Nagle uczuł, że się zatrzymał; widocznie sznur się skończył i nie pozostawało mu nic innego, jak zabrać się do pracy. Zapalił pochodnię i umocował ją w szczelinie skały. Oczom jego przedstawił się widok, który go napełnił najwyższą radością; dokoła, jak daleko tylko słabe oświetlenie pozwalało mu dosięgnąć wzrokiem, błyszczało złoto, a skała przytem była tak zwietrzała, że bez trudności mógł rękami odłupywać bryłę po bryle. Rozglądnąwszy się dokładniej, ujrzał, ku niemałej swej radości, nieopadal miejsca, na którem się zatrzymał, wystający cypel skały, na którym mógł bardzo wygodnie się umieścić. Przy użyciu niewielkiego wysiłku znalazł się wkrótce w położeniu, które mu pozwoliło zabrać się z całym spokojem do pracy. Zaczął też z gorączkowym pospiechem odrywać bryły, napełniając niemi worki.

(Dok. nast.)

Redaktor odpowiedzialny Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański. Właściciele i wydawcy: Dr. K. Ostaszewski-Barański, A. Milski i Sp.
Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku.